

# DWUŚWIAT

KSIĘGA III Tymczas



W. & W. Gregory

# DWUŚWIAT

## Księga III. Tymczas

W. & W. Gregory

# DWUŚWIAT

Księga III. Tymczas



Copyright © by W. & W. Gregory, Stanica 2023  
Copyright © by Wydawnictwo Opener, Stanica 2023

Wydanie I

ISBN – druk – 978-83-67837-00-2

ISBN – ebook – 978-83-67837-01-9

Grafika:

Tobiasz Stochel

Redakcja:

Dagmara Adwentowska

Korekta:

Czcionka Natalia Tarka

Łamanie:

Studio *grafpa*, [www.grafpa.pl](http://www.grafpa.pl)



[www.wydawnictwoopener.pl](http://www.wydawnictwoopener.pl)

@wydawnictwoopener

@wwgregory

*„Rodzi się próżnia tam, gdzie umiera nadzieja”.*

Leonardo da Vinci

## Cudak

To był zbyt piękny dzień na śmierć. A Jasmin nie miała zamiaru dawać nikomu satysfakcji, zwłaszcza tuzinowi tępych wieśniaków pod wodzą rzekomo oświeconego kapłana. Pomyślała o nim, że to szpetny frustrat, w dodatku pewnie tu i ówdzie wybra-kowany, choć uzbrojony jak do walki na śmierć i życie.

Tchórze! Tyłu was zasadza się na jedną kobietę z chorym dzieckiem?! – pomstowała w myślach białowłosa, ale niewiele mogła poza tym zrobić. Stała z płaczącym Wiktorkiem pośrodku łąki za domem kuzyna Fahida, w obcym kraju, choć może trochę bardziej znanym niż na początku. Jej zaciśnięte w pięści dłonie dygotały, a po skroni spływały strużki potu. Nie z powodu upału czy wysiłku związanego z trzymaniem na rękach dziecka, lecz silnego stresu, który całkowicie nią zawładnął. Rzuciała krótkie, bezsilne spojrzenia, za każdym razem w innym kierunku. Nie była w stanie kontrolować ruchów wszystkich otaczających ją mężczyzn wyposażonych w prymitywne narzędzia do pracy na roli. W rękach wścieklej tłuszczy nawet archaiczna czy improwizowana broń, jak siekiery, cepy, widły czy kosy, mogła zranić lub zabić tak samo jak ekwipunek doświadczzonego wojownika. Jednak mimo wsparcia duchownego i liczebnej przewagi na niektórych twarzach można było dostrzec objawy niepokoju, a nawet panicznego lęku. Nic dziwnego. Wszak bogobojni farmerzy i rzemieślnicy mieli

wespół z kapłanem pojmać, najlepiej żywcem, nie lada ofiarę – prawdziwego pokuna we własnej osobie, choć jeszcze małego. A co taki potrafiłby uczynić, tego nie wiedzieli nawet najstarsi Floriańczycy. Żaden nigdy nie miał sposobności ujrzeć w akcji ani stwora, ani jego matki. Pozostała im tylko modlitwa. Tak więc odmawiając w myślach dodające otuchy kolejne wersety Psalmu do Najjaśniejszej Pani, mężczyźni zbliżali się krok po kroku w stronę Jasmin, zamykając ją jak w kleszczach i odcinając drogę ucieczki.

– Zostawcie nas w spokoju! – krzyknęła, powodując nerwowe drgnięcie co poniektórych.

Ze strachu jeden z napastników popuścił w spodnie, a drugi podsunął się bliżej swego towarzysza, zostawiając spory odstęp od kolejnego.

– Oddaj dziecko, to darujemy ci życie – powiedział spokojnym głosem Lupius, kapłan Kościoła Patri, przewodzący krucjacie.

– Nie ma mowy – odparła Jasmin i znów nerwowo rozejrzała się dookoła.

Z przeblyskiem nadziei odkryła, że w otaczającym ją kręgu zrobiła się wyrwa. Pomyślała, że oto zyskała możliwość wydostania się na zewnątrz, lecz z pewnością musiałaby to uczynić wyjątkowo szybko. Potem biec, gdzie nogi poniosą, byle dalej. Przycisnęła chłopca bliżej piersi i puściła się pędem w kierunku upatrzonego miejsca. Napastnicy zamarli. Stali jak tępe kołki, jakby nie chodziło o ucieczkę bezbronnej kobiety z dzieckiem, tylko szarżę rozwścieczonego jaszczura. Kiedy Jasmin prawie wydostała się na zewnątrz kręgu i już zamierzała świętować odzyskanie wolności, jej pleców dosięgnął podwójny bicz kapłana. Jedna z części pancernego sznura raidi smagnęła ją po barkach i szyi, sięgając aż do głowy. Zbołała kobieta tylko syknęła, nie chcąc wystraszyć dziecka, po czym zagryzła wargi. Po chwili jednak, kiedy malec rozdarł się wniebogłose, zdała sobie sprawę, że druga część bicza dosięgnęła jej nerek, zsunęła się po talii i zahaczyła ostrą

końcówką o nóżkę Wiktorca. Następne uderzenie zadziało z opóźnionym zapłonem.

Ból był paraliżujący, lecz strach o chłopca po stokroć większy, niemal nieskończony. Kobieta opadła na kolana. Skuliła się, by utworzyć naturalną tarczę dla dziecka. Lupius nie zadowolili się jednym trafieniem. Błyskawicznie świsnął biczem, raz za razem, trzykrotnie. Jasmin zawyła, co pobudziło chłopca do jeszcze głośniejszego płaczu, a jednocześnie wyzwoliło w kapłanie olbrzymią chęć skatowania tej pary na wieczną rzeczy pamiętkę. Siekł batem z wściekłością, gdzie popadło, usiłując zapęłnić każde wolne od krwi miejsce kolejnym czerwonym śladem. Nawet kiedy białowłosa straciła przytomność, nie przerwał swego okrutnego dzieła. Bez opamiętania smagał jej plecy, w myślach obwiniając ją za wszystkie grzechy tego świata. W końcu głowa Jasmin opadła bezwładnie. Wiktorcik schowany pod jej ciałem lkał jeszcze przez chwilę, coraz ciszej i ciszej.

– Sieć, gamonie! – wrzasnęła kapłan, sapiąc przy tym, jakby przebiegł tysiąc kroków. – Tam zostawiliście – dodał, wskazując na drzewo rosy.

Trzech stojących najbliżej mężczyzn błyskawicznie przytargało ciężką siatkę o węzłach naszpikowanych ostrymi kawałkami muszli i splocie wzmocnionym metalowymi haczykami.

– Po co ta sieć? Oni już nie dychają – głowił się jeden z wieśniaków.

– Jeśli to prawdziwy pokun, to odżyje. I co wtedy? – Lupius pozbawił gawieź wszelkich złudzeń.

Kiedy zarzucali siatkę na ciało Jasmin, kobieta poruszyła się.

– A nie mówiłem? Związać ich – warknął kapłan, po czym wznosił ręce ku niebu i zaczął coś mamrotać do siebie.

– O, bestia też dyszy, ino spi. Patri, miej nas w opiece – biadolił wyjątkowo strachliwy cieśla bez trzech palców.

Wiktorcik został oddzielony od Jasmin za pomocą kija. Widocznie ją wieśniacy postrzegali niemal jako człowieka, nie obawiali się



więc dotknąć jej, pod żadnym pozorem jednak nie chcieli ruszyć gołą ręką czegoś, co mogło pochodzić z otchłani. To z tym okropnym miejscem, do którego trafiają dusze ludzi bez wiary, kojarzył się najprawdziwszy pokun, nieważne, że omdlały i pod postacią dziecka. Jasmin szczerlnie owinięto siecią i dodatkowo opleciono w kilkunastu miejscach sznurami.

– Teraz to małe ścierwo – zdecydował Lupius.

– Nie ma mowy. Ja się nie tknę pokuna – odpowiedział farmer, który napracował się najwięcej przy wiązaniu kobiety.

– Ja też – zadeklarował kolejny, stojący obok niego.

– I ja – dodało chórem kilku następnych.

Lupius podszedł bliżej. Wyrwał sznurek z dłoni jednego z nich i kiedy już zamierzał dokończyć dzieła, zamyślił się.

– Lepszy będzie worek – powiedział po chwili.

– Jaki worek? – zapytał kolejny bojaźliwiec z cepem w dłoniach, szczęka mu drżała jak u chorowitego dziadygi.

– A jaki ma być? Albo nie. Przeprowadźcie od razu wóz.

Mężczyzna z cepem pobiegł w stronę traktu. Po chwili wrócił, powożąc dwukołówką ciągniętą przez dwa starsze hydapi. Wóz był wypełniony różnymi akcesoriami potrzebnymi na nietypowe akcje, w tym sznurami, deskami, łodygowymi workami, wiadrami i kilkoma sztukami czterozębnych wideł. Lupius wziął jeden z większych worków, a z wielkiej szpuli oderznął sztyłem kawałek sznurka.

– Zanim ją załadujecie, trzeba przeszukać. Może ma nóż. A ty – zwrócił się w stronę grubasa odzianego w brzuchate nosidło rybaka. – Obszukaj całe domostwo. Przynieś wszystko, co wyda ci się inne niż floriańskie.

– Skąd mam wiedzieć, jak wyglądają rzeczy z odwróconego świata? Nigdy tam nie byłem i obym nie trafił.

– Z Inco, głupolu – strofował go Lupius, a w tym czasie obmacywał nieprzytomną, zalaną krwią kobietę. W małej kieszonce jej sukienki

odkrył coś, co go zdziwiło. Była to stara, skórzana bransoleta, pięknie zdobiona.

– No właśnie coś w tym stylu – powiedział kapłan, pokazując znalezisko.

– Co tam jest napisane? – zapytał jeden z wieśniaków.

– To jest starożytek. Pewnie ichniejsze znaki, obce – odpowiedział Lupius, ścierając krople lepkiej krwi z wymyślnych ornamentów.

\* \* \*

Po załadowaniu omdlałej Jasmin na wóz i przywiązaniu jej do burty każdy z członków halastry otrzymał nagrodę, po trzy szare kamienie, którą zamierzał spożytkować w karczmie. Kapłan odczekał chwilę, aż wieśniacy znikną za horyzontem, i dopiero wtedy zabrał się za Wiktorka. Uniesiony za rękę chłopiec znów rozdarł się jak poparzony. Lupius przyjrzał się ostrożnie jego nieludzkiej twarzy. Najwyraźniej to, co zobaczył, zgadzało się z opisem Kaaratu i jego matki. Dzieciak miał buzię pełną małych szpiczastych kielków i dziwnie suchą skórę. Nie to jednak wzbudziło największe zdziwienie kapłana, a drobne oczy niedorosłego pokuna. Mimo że były szeroko otwarte z przerażenia, a chłopiec przecież płakał, nie popłynęła z nich ani jedna łza.

– Do kroćset! Nie patrz tak na mnie! – wrzeszczał Lupius.

Pospiesznie, trzęsącymi rękami nałożył dziecku worek na głowę, potem wcisnął jego ciało do środka i całość związał sznurkiem. Tak zabezpieczony tobolek zaniósł do wozu i przytroczył do koźła. Wreszcie mógł odetchnąć. Malec cały czas delikatnie się ruszał i łkał, instynktownie walczył o życie. Lecz nawet to nie zbudziło jego matki. Przypięte do dyszła hydapi natomiast zachowywały się tak, jakby udzielał im się niepokój dziecka, charczały nerwowo. Kapłan zajął miejsce woźnicy, ale po krótkiej chwili zsiadł z wozu, nadal trzymając lejce, po czym kilka razy spojrzął w stronę worka, za każdym razem

coraz spokojniej. Dopiero idąc równolegle do wozu, poczuł się niemal całkowicie bezpieczny.

Jazda po kamiennym trakcie składającym się z nierównych, wyszlizganych głazów powodowała równomierne, rytmiczne dygotanie całego zaprzęgu. Zadziałało to usypiająco na Wiktorka. Szybko zaczął pochrapywać, irytując woźnicę, który najchętniej jak najprędzej pozbyłby się wiezionego ładunku i odebrał od Najwyższej Kapłanki Wszechziemi jakiś dochodowy rewir, a być może i trzy, w podzięcie za schwytanie prawdziwego pokuna. Rozmyślanie na temat nagrody pomagało mu zapomnieć, jak niebezpieczny towar eskortuje.

Po jakimś czasie, jeszcze przed peryferiami Litrijis, kiedy kamienny trakt złagodniał, zmieniając się w mniej wyboisty, Jasmin otworzyła jedno oko. Potem drugie, to bardziej zapuchnięte. Usłyszała odgłosy przyrody, szemrzący stukot kół i klapnięcia kilku nóg. Nie była w stanie poruszyć żadnym ze swych członków, co w pierwszej chwili nie było dla niej takie oczywiste. I nie dlatego, że ból przygniatał ją swym ogromem. To przez więzy, ciasne, krępujące i w niektórych miejscach odznaczone na skórze piekącym śladem. Od razu przypomniała sobie, jak związali ją Haag i Loothe, kiedy postanowili ukraść jej Wiktorka. Wspomnienie wywołało ten sam paniczny lęk o chłopca. Poczula, że musi coś zrobić.

- Gdzie moje dziecko? – zapytała niemal bez życia w głosie.
- Nie odzywaj się, bo go obudzisz – odpowiedział głos kojarzący się z niedawnym oprawcą, dobiegający zza jej głowy.
- Gdzie nas wieziecie? – zapytała, tym razem szeptem.
- Nie twoja sprawa. Ciesz się, że jeszcze żyjesz.
- Mój synek nie może zbyt długo być nieosłonięty. Promienie Hello mogą go zabić.
- A jakże. Wszak jest z odwróconego świata.
- Okryj go, błagam.
- Zamknij się, bo znów oberwiesz.

Jasmin z trudem zabrała się za zmianę pozycji. Kiedy tylko musnęła krawędzią pleców prowizoryczny podest, na którym leżała, poczuła niewyobrażalny ból.

Odkręciła się z powrotem. Postanowiła przetoczyć się najpierw na brzuch, a dopiero potem na prawy bok. Nieco klejąca, śliska plama brunatnoczerwonej mazi, efekt zakrzepnięcia jej krwi, ułatwiła to zadanie. W końcu mogła rozpoznać, że człowiekiem trzymającym lejce był Lupius.

– Gdzie jest Wiktorek? – spytała, tym razem z wyraźnym niepokojem w głosie. – On jest ciężko chory.

– To już nie twoje zmartwienie.

– Proszę cię. Zrobię wszystko, co zechcesz.

– Przestań gadać.

Jasmin posłuchała kapłana. Patrzyła tylko w jego stronę, wyrwywając go z zamyślenia, gnębiąc go swym wiercącym spojrzeniem.

– Mały jeszcze dycha. Schowany – powiedział na odczepne Lupius.

Białowłosa wykręcała głowę w różnych kierunkach, by dostrzec miejsce ukrycia Wiktorka.

– Na pewno?

– Na pewno. No, chyba że zdechł. A w ogóle to zamknij się w końcu.

Westchnęła ciężko i z bezsilności zacisnęła powieki. Kiedy je otworzyła, znów zwróciła wzrok w stronę kapłana. Dostrzegła, że jego prawy nadgarstek przyozdabia bransoleta. Ta sama, którą otrzymała od Kaaratu i która ponoć należała do jej rodziny.

– Możesz wziąć tę bransoletę, jeśli chcesz. Jest bardzo cenna. Dam ci, co tylko zechcesz, ale wypuść nas.

– Phi – parsknął Lupius. – Przecież już ją sobie wziąłem.

– Dobrze. Niech ci służy. – Jasmin nie miała ochoty oddawać jedynej pamiątki po przodkach, ale pragnęła za wszelką cenę uspić czujność kapłana.

Po kilkudziesięciu krokach w zupełnej ciszy Lupius zagadnął, pokazując nadgarstek ze zdobyczą biżuterią:

– Co tu jest napisane?

Jasmin zaskoczyło to pytanie.

– Myślałam, że kapłani znają starożytek – odpowiedziała niepewnym głosem.

– Znają, ale to przecież po waszemu. Nie udawaj, że nie pochodzisz z Inco.

– Pochodzę stąd. Na nazwisko mam Manduarra.

– Akurat. To co tu jest napisane?

– Jestem niepiśmienna – skłamała, ale tylko w kwestii znajomości alfabetu Inco.

W tym momencie zza drzew wyłoniła się panorama peryferii Litrijis, od strony rzeki Ethne. Na twarzy kapłana pojawił się delikatny uśmiech. Skierował zwierzęta w kierunku wodopoju na krótki odpoczynek. Hydapi, brodząc w płyciźnie, schyliły łby i radośnie zanurzyły pyski w wodzie. Tymczasem Lupius sięgnął do schowka przy koźle i wyjął z niego mały bukłak. Wylał resztki, nabrał kilka kropel, przepłukał, wylał zawartość, znów nabrał dosłownie odrobinę, którą pospiesznie wypił. Kiedy napełniał go ponownie, tym razem do pełna, poczuł, że coś okrutnie śmierdzi. Obejrzał się więc za siebie. Kilka kroków za nim stał obleśny dziad. Jedyną ręką odzianą w podarty rękaw wspierał się na metalowej lasce. Napotkany człowiek beczelnie przyglądał się niecodziennemu ładunkowi.

– Odejdź, starcze. To są sprawy Kościoła – powiedział kapłan.

Na twarzy Jasmin pojawił się grymas, połączenie obrzydzenia, niepokoju i ciekawości. Była zbyt słaba, by po raz kolejny wykonać wysiłek związany ze zmianą pozycji. „Kiedyś już słyszałam ten głos. I wtedy też okropnie śmierdziało” – pomyślała.

– Kościoła, powiadasz? – odpowiedział pytaniem starzec.

– Tak. Nic nie widziałeś. Odejdź po dobroci, powiadam ci.

– Nic nie widziałem? A to dobre. Czyżby to był ten rzekomy pokun i jego matka, o których chłapie całe Litrijis?

Starzec obszedł wóz dookoła i zerknął w stronę Jasmin, potem na kapłana, i znów na Jasmin. Białowłosa drgnęła nerwowo, po czym zamknęła oczy i zastygła, udając, że śpi. Lupius już sięgał za pazuchę po swój podwójny bicz, lecz ostatecznie odstąpił.

– Skąd ja cię znam? – zapytał.

– Nie pamiętasz mnie, Lupiusie?

– A więc ty znasz mnie. Kim jesteś? Mówże wreszcie, bo kark obtłukę! – Kapłan pogroził dziadowi pięścią.

– Jam jest Ghaideng Ru. Teraz sobie przypominasz?

Lupiusowi oczy zaświeciły się z zaskoczenia, bo raczej nie z radości.

– To ty? Skądżeś się tu wziął na tym odludziu? Mówili, że umarłeś.

– Ano jeszcze nie.

– Dobrze cię widzieć, bracie.

Głos Lupiusa nie brzmiał szczerze. Jakby odezwał się tak, jak wypadało, ale przez wzgląd na opowieści o szalonym kapłanie, członku Rady Kościoła Patri, który skończył w rynsztoku, nie miał ochoty za długo się z nim zadawać. Zresztą to byłoby niepolityczne. Tak naprawdę nie wiadomo, który z tej dwójki bardziej udawał zadowolenie z powodu spotkania. Ghaideng Ru także nie tryskał euforią. Najwyraźniej był po prostu ciekaw, co tu się wyrabia. Od czasu, kiedy został odstawiony w kościelny niebyt, tęsknił za sprawami najwyższej wagi.

– A gdzie ten mały pokun? Ubity? – zapytał.

– A skąd? Ae by mi nie darowała. Zwiążany. W worku. O, tam. – Lupius wskazał na zawiniątko przytroczone do kozła.

Jasmin w myślach odetchnęła z ulgą. Nie dość, że Wiktorok najprawdopodobniej żył, to jeszcze na szczęście pozostawał ukryty w łodygowym worku. „Że też wcześniej na to nie wpadłam. Worki

chronią przed temperaturą i są takie przewiewne. To dużo lepsze rozwiązanie niż chusta” – pomyślała.

– A co to za bransoleta? – zapytał podejrzliwie dziad. Widać było, że coś chodzi mu po głowie i chce się tylko upewnić.

– To jej. Wziąłem jako dowód jej winy. Mówi, że się nazywa Manduarra, czy jakoś tak, ale ja tam jej nie wierzę. To obca. Skąd by wzięła bransoletę ze znakami z Inco?

Ghaideng Ru wziął głęboki wdech i pospiesznie wypuścił powietrze, dodając sobie animuszu. Stał pewniej na nogach, chwycił laskę, jakby ścisnął rękę siriusa, i dzielił kapłana prosto w łeb, po czym powiedział spokojnym głosem:

– To nie są znaki z Inco, ty niedouczony faflunie.

Lupius padł jak kłoda. Wiktorek obudził się i zaczął płakać, powodując kolejne cierpienia matki. Ghaideng Ru poprawił, tym razem waląc leżącego przeciwnika z całej siły prosto w twarz, wybijając kilka zębów i miażdżąc mu nos. Twarz kapłana szybko zalała się krwią. Jasmin otworzyła oczy, na chwilę, dosłownie jedno krótkie spojrzenie, po czym szybko i mocno zacisnęła powieki. Obraz, jaki zobaczyła, utwierdził ją w przekonaniu, że Lupius był tylko zwykłą kanałią, ale raczej nie mordercą. A teraz leżał martwy na drodze. Czy ona będzie następną? Skoro ten zdiczały staruch z taką łatwością zabił ważnego kapłana, to jakie ona ma szanse? Żadne. Patri, ratuj chociaż moje dziecko – powiedziała do siebie w myślach, choć zaskoczyła ją ta prośba.

– Szybko. Musimy tu posprzątać – powiedział Ghaideng Ru, rozglądając się za ewentualnymi świadkami zdarzenia. – No już. Nie wleżę na wóz – oświadczył, wskazując na kulasa.

Jasmin ponownie otworzyła oczy.

– Rusz się, kobieto. Musimy się ukryć – ponaglał starzec.

– Kim jesteś i czemu mi pomagasz?

– Byłem przyjacielem twojego kuzyna Fahida. Nie pamiętasz?

- Kaaratu też nazywał się przyjacielem. I to on mnie wydał.
- Ten lipny straganiarz? To kupczyk i gnida.
- To co teraz? Jestem związana i nie czuję pleców. To znaczy czuję.

Żywy ogień.

- Musisz się stąd ruszyć albo tu zostać. Wybieraj.

Jasmin wykonała pierwszy powolny ruch głową, po którym syknęła z bólu, potem kolejny, usiłując przesunąć się choćby o kawałek. Zamarła i wzięła delikatny wdech, po czym niespiesznie wypuściła powietrze. Powoli zaczęła kołysać ciałem na boki, jęcząc przy tym przejmująco. Każdy, nawet najdelikatniejszy ruch wyzwał potworne palenie zaognionych ran. W końcu rozhuśtała się, raz przechylając się na łokieć, raz na udo, co jakiś czas wspierając się obolałą łopatką i sycząc z bólu. Doczołgała się do krawędzi wozu, cała upačkana. W tym czasie Ghaideng Ru przeszukał wszelkie schowki pod siedziskiem woźnicy. Wśród szpargałów odnalazł mały sztylet, najpewniej należący do Lupiusa. Bez trudu, jakby robił to nie pierwszy raz, rozciął nim więzy i w kilku miejscach sieć, którą spętana była leżąca na skraju wozu Jasmin. Kiedy, asekurując jedyną ręką, pomagał jej zejść na ziemię, przymknął powieki i pokręcił przecząco głową. Nie potrafił ukryć ubolewania z powodu ran, jakich kobieta doświadczyła z rąk swego oprawcy.

- Dziękuję - powiedziała. - Muszę wziąć dziecko, dobrze? - dopytała, by się upewnić, czy wybawca nie zmienił zdania.

- Tylko szybko.

Jasmin niespiesznie obeszła wóz dookoła z widocznym grymasem bólu na twarzy. Odwinęła sznurek, którym worek był przywiązany do kozła, po czym rozsypała węzeł. Po rozwarciu tkaniny nie wyjęła dziecka na zewnątrz, ale wychyliła jego główkę i ucałowała czoło.

- Zostaniesz w tym worku, dziecino. W nim będziesz bezpieczny - wyszeptła, gładząc go czule dłonią. Chłopiec cały czas popłakiwał.

- Nie ma czasu na ceregiele. - Ghaideng Ru powoli tracił cierpliwość.



Podszedł do Lupiusa, siłą zdjął mu bransoletę z nadgarstka i wręczył Jasmin.

– To chyba twoje – powiedział.

– Mały jest głodny – odpowiedziała bezwiednie, przez chwilę zaskoczona gestem starca.

Kiedy zobaczyła, że mężczyzna bez słowa ruszył na przełaj, poczłapała za nim, z wysiłkiem dzierżąc chłopca, drobiąc kroki, co jakiś czas zostawiając ślady w postaci zastygniętych drobinek krwi.

– Gdzie idziemy?

– Ja idę do swojego domu.

– Proszę pana, chwileczkę. Czy ten wóz ma tu tak zostać? A ten kapłan? Czy nikt się nie połapie, że go zabiłeś? Możesz mi powiedzieć, dlaczego się narażasz? Dla mnie? A w ogóle czy możemy iść wolniej?

Ghaideng Ru zatrzymał się. Odczekał, aż Jasmin się z nim zrówna.

– Za tamtym pagórkem jest mój dom. Jeśli ktoś mnie zapyta, odpowiem zgodnie ze swoim sumieniem, że nic nie widziałem. I tak wszyscy uważają mnie za dziwadło, więc co bym nie powiedział, i tak mi nie uwierzą. Jedni będą myśleć, że łżę i nie dbam o zwyczaje, a drudzy, że mi się w głowie pomieszało. Tak już mam.

– Czyli będzie na mnie. Super. Sama się rozwiązałam, z rozpędu zabiłam uzbrojonego kapłana i uciekłam z dzieckiem. Zabawne.

Ghaideng Ru prychnął. Jasmin aż korciło, żeby się odgryźć jakimś siarczystym przekleństwem.

W ostatniej chwili się powstrzymała. Przypomniała sobie, że kiedyś regularnie wzmacniała każdą ważniejszą wypowiedź inwektywami rodem ze slumsów, lecz kiedy zdała sobie sprawę, że tu jest Floris i że Wiktorek się od niej uczy, a każde słowo wypowiedziane przez matkę będzie dla niego nauką, postanowiła, że nawet w myślach powstrzyma się od wulgaryzmów.

– Czy może mi pan powiedzieć, dlaczego wszyscy uważają, że moje dziecko to jakiś pokun? Do tej pory nie wiem, co to w ogóle oznacza.

Czy tak się u was mówi na dzieci dotknięte chorobą? Co myśmy im zrobili, że na nas polują?

– Bo to durnota, nie ludzie – odpowiedział, wznawiając marsz, tym razem wolniej. – Wierzą w te swoje dyrdymały. Zresztą nie bez przyczyny. Mają wierzyć, bo tak chce Rada Kościoła. – Ghaideng Ru spojrział w stronę Jasmin, jakby chciał sprawdzić jej reakcję. – Jesteś podobna do swojego kuzyna, ale on nie miał takich oczu.

– Jakich?

– Jego były nijakie, chyba szare. Twoje mają soczystą barwę, przypominają bursztyny.

– Czyli wiecie, co to są bursztyny. U nas jest taka maleńka kopalnia w miejscu, gdzie kiedyś było jezioro. Robiłam im kampanię.

Mężczyzna nie zareagował, kuśtykał swoim tempem.

– To takie zanęcanie w celu zwiększenia sprzedaży – kontynuowała, by go zaciekawić. – W tym wypadku to było bardziej ratowanie podupadającego biznesu. Od kiedy modne stały się wszywki ze szkła, metalu, a nawet plastiku, i to nie tylko wśród slumerek, drogie kamienie, wie pan, diamenty i bursztyny, odeszły do lamusa. Tylko elegantki z dobrego domu je kupowały i oczywiście tylko w promocji.

– Aha – odparł Ghaideng Ru, choć zabrzmiało to, jakby chciał powiedzieć: „Nic nie zrozumiałem, ale wcale mnie to nie obchodzi” albo „Niby nie miała siły, żeby chodzić, ale ma siłę, żeby mieć ozorem”.

– Czy to nie dziwne, że kapłan nie potrafi odczytać znaków na bransolecie? – zapytała. – Ten Lupius był przekonany, że dla mnie to błahostka. Dziwne, nie?

– To prosty człęk do zadań specjalnych, choć z tego, co pamiętam, niegorszy z niego skryba. Skąd ma wiedzieć, że to nie są ani znaki Inco, ani starojęzyk.

– Czyli to nie starojęzyk? – zdziwiła się Jasmin. – A więc stosujecie też inne alfabety. A to ciekawe. Nie wiedziałam.

- To nie jest starożytek.
- A więc co to za hieroglify?
- Oszczędzaj się, nie gadaj tyle.
- Ja gadam? Gdybyś poznał moją przyjaciółkę Taryę, tobyś stwierdził, że jestem niemową. Ta to dopiero trajkocze.

Starzec wzniósł oczy w niebo, jakby chciał wyprosić u Patri, by pozbawiła go kompanii. Potem spojrział w stronę Jasmin, pokręcił głową z niedowierzaniem, charknął i siarczyście splunął na ziemię. Kobieta nie miała siły analizować, czy jego zachowanie należy traktować jako nietakt, czy może był to kolejny floriański zwyczaj, równie dziwny, co niegrzeczny. Zastanawiając się nad sensem słów dziada na temat jej gadatliwości, zdała sobie sprawę, że mówienie pozwala zapomnieć o bólu. Nie zamierzała się jednak nikomu tłumaczyć.

- Wiktoruku, wiesz, jak nazywa się nasz wybawca? Przedstawiał się, ale zapomniałam - zwróciła się w stronę niesionego z wysiłkiem dziecka, nieco głośniej.

- Zamknij się w końcu - warknął Ghaideng Ru.

- Gadam, żeby nie myśleć o bólu, ty stary dziadzie! Przepraszam. Nie to miałam na myśli.

\* \* \*

Minęło kilka dni od narodzin potomka Ae, ale w Patrice kurcz wcale nie opadł. Wszyscy koniecznie chcieli zobaczyć dziecko, lecz Najwyższa Kapłanka Wszecziemi z powodu długiego i bolesnego porodu postanowiła odpocząć, by nabrać sił. Zaszyla się więc w swojej komnacie wraz z Harisem i ich maleństwem. Oprócz służek zaglądał do nich tylko kapłan medyk, zobowiązany pod przysięgą do nieujawniania żadnych prywatnych spraw, których był świadkiem. Władczyni Floris planowała, że kiedy przyjdzie pora, sama podzieli się ze światem wspaniałą nowiną. Nowo narodzone dziecię nie przypominało ani chłopca, ani dziewczynki, a to oznaczało, że wszelkie modły

zostały wysłuchane. Patri, obdarzając płodnością najważniejszą spośród kapłanek, wydała na świat swego potomka. I właśnie dlatego, że nie posiadał określonej płci, Ae nie miała wątpliwości. Oto narodził się wybawca.

Świadcami niecodziennych narodzin oprócz medyka, służek i Tamadur, której nikt nie widział od kilku dni, była para nadwornych inżynierów z importu.

– Słuchaj, to żaden problem – zwróciła się Tarya do Goeffreya podczas kolejnej wymiany zdań na temat wyjawienia Ae całej prawdy. – Przecież wiesz, że kiedyś w Inco to zjawisko było na porządku dziennym. Potem, kiedy twój braciszek chciał prostować społeczeństwo i nakazał utylizować hermy, zrobiło się wielkie larum, że niby jest ich za dużo. Uważam, że matka powinna poznać prawdę.

– Podzielam twoje zdanie, ale nie możemy powiedzieć Ae, o co chodzi, bo ona nie dość, że znienawidzi Harisa, to jeszcze każe go ściąć.

– Przecież Haris jest niewinny. To kwestia mutacji, czyli *de facto* wina twojego brata, jaśnie pana premiera, który na to pozwalał. – Ton Taryi był nafaszerowany gęstym jak smoła sarkazmem.

– Mówiłem ci, że Barney chciał to uporządkować. To kilkupokoleniowy problem, który zastaliśmy i chcieliśmy rozwiązać. To też nie jest jego wina. Zrozum to wreszcie.

Nagle do pomieszczenia, w którym pracowali nad kolejną machiną do strzelania promieniami Hello, wszedł Haris. Zrobiło się niezręcznie. Mężczyzna wyczuł, że jeszcze przed chwilą był bohaterem rozmowy. W dodatku niechlubnym.

– Jak dziecko? – zapytał Goeffrey, by przerwać niezręczną ciszę.

– Wszystko dobrze – odpowiedział Haris, choć z tonu jego głosu można było wyczytać zakłopotanie. – Kapłan medyk mówi, że – tu chrząknął – małe rozwija się prawidłowo.

– Jemu to bym nie ufała – skwitowała Tarya. – To stary zbereźnik, niby ślepy na jedno oko, ale na cipkę Ae to się gapił. Gównno się zna na hermach.

- Cicho – skarcił ją Goeffrey.
- Co cicho? – oburzyła się Tarya. – A jak mam mówić? Nawet Haris nie mówi „mały” czy „mała”, tylko „małe”. To jest ono, dziecko dwupłciowe. Przypominam, bo chyba od kiedy przekroczyliście granice pomiędzy krainami, zdążyliście zapomnieć, że hermy to interseksualni ludzie. Mają te sprawy – pokazała na swoje krocze – zarówno żeńskie, jak i męskie. W dobie mutacji należy się cieszyć, że ludziom nie wyrastają po cztery ręce, do cholery!
- Daj już spokój – powiedział Goeffrey i dyskretnie dał znak gestem, by spojrziała na świeżo upieczonego ojca. Mężczyzna faktycznie wyglądał jak sto nieszczęść.
- To moja wina – odparł smutnym głosem Haris. – Ae jest taka czysta. Jak bidryt. To we mnie siedzi skaza.
- E tam. Bzdura. A co ona o tym wszystkim sądzi? – Tarya nie dawała za wygraną.
- Wierzy, że to przyszły bóg, dziecko Patri.
- No i super – ocenił z radością Goeffrey. – Dałeś jej to, czego chciała.
- Ona nie może poznać prawdy, błagam – prosił Haris.
- Zrozumiałe – powiedział Goeffrey i zrobił gest zamykania ust na zamek błyskawiczny
- No nie wiem – dąsała się Tarya. – A co ja z tego będę miała? – zapytała, choć szybko ugryzła się w język.
- Haris spojrział w jej stronę z wyrzutem i pospiesznie wyszedł, z każdym krokiem zostawiając wyczuwalny na odległość ślad wstydu.
- Co cię podkusiło? – wściekał się Goeffrey. – Mało ten facet ma kłopotów?
- Po prostu uważam, że kapłanka powinna poznać prawdę, a nie wierzyć, że urodziła jakiegoś boga.

Tej nocy Ae znów przeżywała ten sam koszmar co poprzedniej. Śniła jej się, że powiła pokuna, a dokładniej: koślawego stwora, którego widziała na rycinie wiszącej w komnacie należącej kiedyś do Namaliego. Nowo narodzone dziecko miało nieproporcjonalne rozmiary: niewielką głowę, krótki tułów i długie, pokryte łuskami nogi. Jego rozmazana twarz przypominała niedokładnie oczyszczone z ości i łusek dzwonko rżmy z wystającym, chropowatym jęzorem w kształcie serca i czterema wylupiastymi oczami, po parze z każdej strony. We śnie stwór zaraz po narodzeniu zwrócił się przeciwko matce i udusił ją opierzonymi, pulchnymi rączkami. Kapłanka obudziła się złana potem. Spojrzała w stronę rzeźbionej kołyski, w której spało jej maleństwo. Nie poczuła nic. Ani żalu, ani strachu, ani chęci przytulenia. Jakby małe nie należało do niej, lecz faktycznie było potomkiem Patri, a ona tylko wydała je na świat. „Dlaczego ja go nie miłuję? Przecież to nasza, nasz, nasze nowe bóstwo. Czy powinnam nadać mu imię, skoro to nie moje dziecko? A jeśli tak, to jakie? Nie wiadomo, czy wyrośnie na boga o ciele mężczyzny, czy może kobiety. Może Patri mi podpowie?” – głowiła się.

– Tamadur, odzienie! Idę się pomodlić.

I znów zapomniała, że służka zaginęła tuż po porodzie.

– Bezczelna wichrzycielka. Jak tylko się odnajdzie, dostanie za swoje – powiedziała do siebie. – Straż! – krzyknęła.

W mig pojawił się stojący na zewnątrz mężczyzna w purpurowym mundurze.

– Gdzie jest pan Haris? – spytała.

– Aktualnie stoi przed Radą – odpowiedział ze skruczą w głosie.

– Co to za zwyczaj? Kto go wezwał?

– Kapłan Laers, pani.

– A wiesz może, w jakim celu?

Strażnik pokręcił przecząco głową, więc odegnała go gestem. Najwyższa Kapłanka Wszecziemi nie zamierzała opuszczać komnaty, chyba że po to, aby się pomodlić, ale jeszcze bardziej nie miała ochoty tolerować niesubordynacji. Nikt nie będzie zwoływał mojej Rady za mnie. Poza tym, jakim prawem wezwano Harisa? To nie może nikomu ująć płazem, zwłaszcza tym niedojrzałym dyngusom – pomyślała.

Usłyszała pukanie do drzwi.

– Wejść – zdecydowała.

Był to kurier poczty. Wszedł unizony jak do ukłonu, nie patrzył kapłance w oczy.

– O, list. Dawaj.

Podał jej cienki, lepący się od brudu rulon.

– Co ty mi tu dajesz?

– Taki dostałem. Wybacz, pani.

– Kpina. Zaraz się porzygam. Następnym razem powiedz temu, który ci to wręczył, że nie wolno bezcześcić korespondencji ze mną. Jasne?

Kurier kiwnął głową i pospiesznie opuścił komnatę.

– List. To nie żaden list. Może jeszcze na papierze do podcierania tyłka będziecie do mnie pisać. Już ja ci dam, autorze listu. O Patri, jaka obleśna kokarda. – Ae, mówiąc do siebie, odpięła ją z obrzydzeniem i zaczęła rozwijać rulon. – Ale niechlujne pismo. Co my tu mamy? „Święta pani nasza, bla, bla, bla. Kapłan Lupius ubity przez pokuna. Ratuj nas. Ratuj Litrijis”.

– Straż!

Strażnik znów pojawił się w mgnieniu oka. Tym razem, wchodząc, westchnął znacząco, jakby chciał zapytać „czego znowu?”.

– Wołaj Zenita, tfu. Tego, jak mu tam, Maidena, ale już.

Ae ostatecznie nie dotarła na posiedzenie Rady. Po załatwieniu tematu morderstwa w Litrijis, czyli wydaniu dyspozycji kapłanom śledczym, poczuła się zmęczona. Wróciła do łoża, by chwilę odpocząć. Zaplanowała, że jej mężczyźni konkretnie się oberwie, że oddalił się bez pytania. Tymczasem Rada po przesłuchaniu Harisa w temacie przedłużającej się niedyspozycji Najwyższej Kapłanki Wszechziemi wznosiła obrady w Złotej Świątyni. Wewnątrz panował półmrok. Był to efekt żarzących się tylko trzech wielkich świecznic, gdyż reszta zdążyła się wypalić.

– Haris nic nie powie. To dobry człek, ale lojalny wobec Ae – ocenił Unnuh, jeden z młodszych stażem członków Rady.

– On ją przecież miłuje. Dlaczego miałyby stawać przeciwko niej? – zapytał Mi-tu.

– Panowie, ona nie jest do miłowania, tylko do rządzenia – przypomniał Laers, zaproszony do Rady tego samego dnia co Unnuh, jeden z najmłodszych stażem kapłan wysokiego szczebla.

– Hola, hola! – odezwał się Bardii, obecnie trzeci pod względem wieku w zgromadzeniu. Kiedy wyszło na jaw, że Namali to zdrajca, on pierwszy zaproponował konfiskatę dóbr, choć dotychczas rzadko się udzielał. – Pamiętajcie, że jeszcze w towarzystwie Ali Udego ustaliliśmy nowy porządek rzeczy? Ae ma być traktowana jak bogini, a my mamy znów rządzić Kościołem. Prawda?

– Tak. Najwyższa pora wziąć sprawy w swoje ręce. – Laers był dziwnie pobudzony tego dnia, zwracał na siebie uwagę starszych.

– Zresztą to świeżo upieczona matka, musi się zajmować dzieckiem, a nie krajem. – Mówiąc to, Bardii podniósł zaciśniętą pięść, czym zaskoczył pozostałych członków. – Dajmy jej jakieś drobne zadania, żeby się nie wtrącała. Maiden mówił, że kazała wysłać śledczych do Litrijis. Ponoć zabito Lupiusa. A to niezły szelma, nie dałby się



dorwać byle powsinodze. Ponoć wysłedził obcą z dzieckiem, podejrzanym, że jest wypełnieniem przepowiedni o pokunie. Takimi sprawami trzeba zajmować Ae.

– Wierzycie w te bzdury? – oburzył się Laers. – Stare bujdy zapisane w skryptach? Panowie, potrzebujemy nowego spojrzenia. Świat się zmienia. Ludzie się zmieniają. Wojna nadal wisi na włosku. To Ae ją wywołała, a my powinniśmy ją wyciszyć. Na ten moment kłótnia z Inco tylko nas kosztuje. *À propos* kosztów. Tak mi się przypomniało, że Ali Ude odpowiadał za Patrimonium. Kto teraz przejmie po nim opiekę nad naszymi skarbami?

– Naszymi? Szybko się uczysz.

Bardii czekał dwa oczyszczenia, by wyjść z cienia kapłanów cieszących się do niedawna największym autorytetem. Nie lubił się z Kiforem, Ali Ude nie traktował go z szacunkiem, a Namali okrutnie go brzydził. Teraz, kiedy upomniała się o nich Patri, on zaś miał szansę ich zastąpić, nie wyglądał na zadowolonego, że tak szybko wyrosła mu konkurencja. W dodatku młoda i bezczelna.

– Muszę dbać o nasz wspólny dobytek, skoro miłościwa Ae nie zgodziła się przyznać mi żadnego rewiru do zarządu. Wszak jestem tylko biednym kapłanem – powiedział Laers tonem sugerującym zupełnie coś innego.

– Co to jest Patrimonium? – zapytał Unnuh.

– To skarbiec Floris, wielka jama obita dechami z moherowego drzewa, w której znajdują się głębokie pokłady uzbieranych przez wiele oczyszczeń szarych kamieni, regularnie uzupełniane z dziesięcin. To nasz skarbiec. Niestety z powodu wojny mocno podupadły. Proponuję na opiekuna wybrać Mi-tu. Nie ma wśród nas bardziej zaufanego kapłana – powiedział podstarzały duchowny o imieniu Viggo.

– Dziękuję. Mam już swoją funkcję i ona mi wystarczy. Wybaczcie, szkolne obowiązki wzywają. Na wszystko się zgadzam, co

uradzicie – zadeklarował Mi-tu i niespiesznie wyszedł, człapiąc po swojemu.

– To może Maiden – zaproponował Bardii. – Nie jest członkiem Rady, ale to oddany sprawie mąż.

– Dobra myśl. A właśnie, ciekawe, dlaczego łaskawa pani Ae go nie poważa? – zapytał z ironią Laers, celowo podnosząc głos.

– Moim zdaniem Maiden powinien przejąć rolę szefa armii po naszym przyjacielu Ling Gui – wtrącił Viggo.

Nagle uchylily się drzwi i zza węgarka wychyliła się głowa szefa purpurowej straży, jakby usłyszał, że o nim się rozprawia.

– Maidenie, wejdz, przyjacielu – zaproponował Laers, czyniąc z siebie gospodarza.

– Ja tylko chciałem wam kogoś przedstawić – powiedział. – Znacie go, to nasz nadworny kapłan medyk. Sądzę, że powinniście go wysłuchać w sprawie dziecka.

Ślepy na jedno oko starzec minął go w drzwiach, wyszedł na środek i uklonił się dyskretnie, jak przystało na uczonego.

– Mów, co cię do nas sprowadza – rzekł Bardii.

– Wybaczcie, czcigodni. Nie powinienem, bo zabrania mi sięgać poufności, ale złożyłem ją wobec Harisa, a to obcy hulaka, który nigdy nie będzie mi panem.

– Dobrze prawi – ocenił Bardii, lecz by jego słowa nabrały jeszcze większej powagi, pokiwał łysą, pokrytą brodawkami głową.

– A czego zakazał ci wyjawiać? – zainteresował się Laers. – Myśmy go przepytali na okoliczność narodzin, bo Ae zbyt długo była w niedyspozycji. Ludzie plotkowali, że dziecko nie przeżyło. Choć jego płacz akurat słychać aż za dobrze.

– Nie wszystko jest, jak trzeba – oznajmił medyk. – Ae urodziła nieludzkie dziecko.

Członkowie Rady wymienili się nieufnymi spojrzeniami.

– A jakie? Boskie? – dopytywał Unnuh.

– Mów chyżo – ponaglał Bardii.  
– Ale nie potrafię. Może być, że boskie. Bo to cudak jakiś. Tu. – Medyk pokazał nieśmiało na swoje krocze, czerwieniąc się przy tym niczym dziewica. – Nic nie wiadomo. Może być to i tamto. Albo jedno i drugie.

– Nie rozumiem.

– Jak by tu powiedzieć? – głowił się medyk. – Zawsze są dwie możliwości: albo chłopak, albo dziewczyna. A tu nie wiadomo. Nigdy się z czymś takim nie spotkałem. A ten cały Haris... wcale się nie zdziwił.

– Czy to znaczy, że nic tam nie ma? – dociekał Bardii.

– Wręcz przeciwnie – odparł medyk. – Są wszystkie możliwości.

– O, Patri miłościwa. Może to faktycznie bóg? Co przyjdzie nam począć? – lamentował Unnuh.

Kapłan medyk pokręcił z niedowierzaniem głową i zasłonił usta dłonią, jakby poczuł się zawstydzony, że być może źle ocenił nowo narodzone dziecko. W swym fachu czasem wykorzystywał wiarę w cuda, stosował magiczne proszki i pachnidła, lecz rzadko łączył tę metodę z tradycyjną, floriańską medycyną. Widział wiele w swoim życiu, ale przynigdy nie miał do czynienia z prawdziwą boskością.

– Dziękujemy za twą lojalność. Możesz odejść – zwrócił się do niego Laers.

Kiedy zauważył, że półślepy starzec przekroczył próg świątyni i zabiera się za zamykanie drzwi, zerknął w stronę Unnuha.

– Nie baw się w Namaliego – powiedział tonem podobnym do Ae, ściągając na siebie kilka zde gustowanych spojrzeń.

– Najwyższym Kapłanem Wszechziemi powinien być mężczyzna. Nie byłoby takich problemów – skomentował Viggo.

Kilku zgromadzonych zgodnie pokiwało głowami.

– A niech mnie. Nie sądziłem, że dożyję takich czasów. – Na twarzy Bardiiego malował się smutek. – Może niech Ae zajmie się jednak macierzyństwem. Wmówimy jej, że tak będzie lepiej dla dziecka.

– Dobra myśl, tylko kto będzie jej następcą? – spytał Viggo.

– A może wielki nieobecny, który powiedział, że na wszystko się zgadza? Ha-ha.

Widać było, że Laers bawi się lepiej niż inni z powodu wypowiedzianego przed chwilą żartu.

– Tak! – Kapłani odpowiedzieli chórem, po czym wymienili się radosnymi spojrzeniami, jakby uradzili najważniejszą kwestię od zarania dziejów.

Sielankę przerwał Unnuh:

– To w końcu kto obejmie zarząd nad Patrimonium?

– Tylko nie ty, bo swym lamentowaniem przyniesiesz pecha fortunie – odpowiedział Laers.

Jego słowa wywołały salwę śmiechu.

Nagle rozległo się skrzypienie drzwi. W mig nastała cisza. Ae, wchodząc powoli i dostojnie, omiotła zimnym wzrokiem wnętrze Złotej Świątyni.

– Z czego się tak cieszyacie i dlaczego radzicie beze mnie? – zapytała oceniającym tonem.

– Mówiono, żeś obolała, pani – powiedział Bardii i uśmiechnął się nieszczerze.

– Już wszystko dobrze. Maiden, zamknij za sobą drzwi – zwróciła się w stronę szefa straży.

Mężczyzna zagryzł zęby i kiwnął głową. Jego wzrok był jakby nieobecny.

– A która to sprawa była aż tak niecierpiąca zwłoki? – Najwyższa Kapłanka Wszechziemi spojrzała w stronę Bardiiego.

Zamykane przez Maideną drzwi trzasnęły z hukiem, zachęcając echo, by pobawiło się tym odgłosem.

– Czeka kilka tematów organizacyjnych – odparł spokojnym głosem Bardii.

– Na przykład? – dociekała kąśliwie Ae.

– Straciliśmy Ali Udego, Namaliego, Ling Gui. Kto będzie się opiekował Patrimonium? Kto będzie nowym szefem wojska? – Kapłan, wymieniając kolejne pytania, wił się przygwożdżony rosnącym lękiem.

\* \* \*

Kiedy Tamadur przyszedł na myśl plan wykorzystania narodzin dziecka Ae do ucieczki, wszystko sobie dokładnie przemyślała. Wiedziała, że ona i jej siostry będą zachowywać się jak służki Najwyższej Kapłanki Wszechziemi. Ponadto muszą spakować tylko najpotrzebniejsze rzeczy, żeby ich ciężar nie opóźnił marszu. Wyjście przez bramę główną powinno się odbyć nie nocą, a raczej wieczorem, kiedy obok ściany płaczu panuje harmider związany z dostarczaniem dziećmi. Właśnie wtedy kapłani, którzy czynią wszystko, by przyjęto ich dostawę i załatwiono wszelkie formalności jeszcze przed zmrokiem, zachowują się, jakby byli w amoku. Nic nie widzą poza kwitkami. A przecież wtedy dzieci robią tyle hałasu, że myśli nie można zebrać. I najważniejsze: Tamadur dowiedziała się od Andrusa, że tego wieczora nawet strażnicy pilnujący wrót mieli otrzymać od Maidena skromny przydział alkoholu z powodu narodzin boskiego potomka. Lepszego momentu nie będzie.

Wykorzystując fakt, że przy wrotach do Patrix pojawiła się większa grupka dzieciaków, Tamadur, Fatima i Adila wmieszały się pomiędzy niebogi, po czym przemknęły z łatwością na zewnątrz i schowały się za budką strażników. Tam odczekały do północy. Podczas zmiany warty pobiegły w dół drogi, byle tylko szybko zniknąć za zakrętem. Udało się. Zziąbane niczym najszybsze okurai, z jakich korzystali tylko kurierzy poczty, wzięły po kilka głębokich oddechów i pomaszzerowały dalej, licząc, że o tej porze nikogo już nie zastaną. Wszak kto miał dostać się tędy za dnia do miasta, ten z pewnością już dotarł. Z góry szło im się całkiem dziarsko. Jedna za drugą, bez słowa,

szybkim tempem, czasem podkręcanym małym truchtem, praktycznie zbiegły na sam dół. U podnóża góry Saandreal znalazły się o świecie. Zmęczone i głodne postanowiły ukryć się w zaroślach i odpocząć.

– Od tej pory nie możemy iść traktem – zdecydowała Tamadur.

– A jeśli się zgubimy? – martwiła się Adila.

– Nie zgubimy. Musimy iść równoległe, polami, lasami, byle nie na widoku.

Po krótkim odpoczynku i posileniu się znalezionymi przy drodze jadalnymi porostami pomaszzerowały, skradając się, jakieś sto kroków obok głównej drogi, co jakiś czas zerkając w jej kierunku, by nie stracić z nią kontaktu. W pewnym momencie Tamadur usłyszała tętent. To kurier poczty, jeden z wielu współpracujących tylko z Ae. Można było go rozpoznać po purpurowej wstążce przypiętej do łba dosiadanego zwierzęcia. Tamadur rozpoznała tego mężczyznę. Nie raz się widzieli. Zagapiła się w jego stronę i nie zauważyła wystającego z ziemi korzenia. Potknęła się i padła jak długa, robiąc przy tym niemało hałasu.

– Auć – zareagowała.

– Kto tam jest? – zapytał kurier i ściągnął lejce. – Powiedz, kim jesteś, a cię oszczędzę – dodał z niepokojem.

Jego okurai zaczął pogwisdywać, jakby ucieszył się z przystanku. W tym momencie Adila już zatkała usta Tamadur, by jej siostra przypadkiem nie wypowiedziała jakiegoś zbędnego słowa. Fatima drżała. Ze strachu zaczęła się modlić.

– Do kroćset, dałbym się pokroić, że słyszałem dziecko – odetchnął kurier, młody, przystojny i szczupły niczym człowiek z Inco. – Co myślisz? – zwrócił się do wierzchowca, ale ten już był zajęty skubaniem przydrożnej kępy zielska.

Kurier obejrzał się jeszcze raz i pognał traktem w stronę Patrix. Kiedy zniknął za zakrętem, Tamadur uwolniła usta z uścisku dłoni młodszej siostry.

– Musimy bardziej uważać – wyszeptała.

– My? To ty się wywróciłaś, niezdaro.

Kiedy Tamadur zrobiła pierwsze kilka kroków, z tobołka uwiązanego na plecach wydobył się chrzęst metalowych drobinek uwolnionych w wyniku upadku.

– Co tam masz? – zdziwiła się Fatima.

– Ja? Nic. Co ci chodzi po głowie? – spytała na odczepne Tamadur.

– No, przecież słyszę. Pokaż.

Najstarsza z siostr wcale nie zamierzała się tłumaczyć, w dodatku przed młodszymi od siebie i na pewno nie tak bystrymi dziewczuchami, które niczego nie rozumieją. Kiedy jeszcze tydzień temu już była pewna, że musi zabić Taaridę, uznała, że potrzebuje sporo szarych kamieni jako zabezpieczenia ucieczki, być może sfinansowania zaplecza akcji.

Niestety, waluta Floris wiązała się z noszeniem sporych ciężarów o dużej objętości. Nie pozostało nic innego, jak zabrać ze sobą coś poręczniejszego, a zarazem bardzo cennego.

– Pokaż, nie daj się prosić – nalegała Adila.

Tamadur w końcu uległa. Odwiązała tobołek z pleców, rozwinęła ściągający wylot powróz i włożyła rękę do środka, skupiając na niej uwagę siostr. Po chwili wyjęła naszyjnik, gruby, niezbyt lekki, przyozdobiony kłami. Na ich widok Fatima wybałuszyła oczy ze strachu. Z kolei Adila wyglądała na zachwyconą.

– Skąd to masz? – zapytała.

– Moja pani mi dała – skłamała Tamadur.

– Czyje to zęby? Nie widziałam takich. – W oczach Fatimy krył się strach, figlujący pospołu z ciekawością.

– Nie wiem. Może pokuna. Bu! – krzyknęła w stronę siostry, powodując jej nerwowe drgnięcie.

– Dlaczego to robisz? – W tonie Fatimy można było usłyszeć spore pokłady żalu.

– Lepiej bądźmy cicho, bo ktoś nas usłyszy. Daj założyć – poprosiła Adila.

– Nie wolno.

– No daj.

– Nie. To na wszelki wypadek. Taki naszyjnik na pewno jest sporo wart – powiedziała najstarsza z siostr i schowała cacuszko do tobołka. Adila obesła się smakiem.

Dziewczynki pomaszzerowały dalej. Jeszcze tego samego dnia dotarły do Asaranu. Kiedy przemieszczały się tędy za pierwszym razem, spętane na wozie w drodze do Patrix, nawet nie zauważyły, że dziura w ziemi, do której wrzuca się mumie umarłych, jest aż tak rozległa. Wtedy były mocno przejęte pochówkiem braci i nieznanym losem, który je czekał.

– Pamiętam, jak Taarida wrzuciła tu Abdula i Ragira – powiedziała z rozrzewnieniem Adila, obserwując z ukrycia dojeżdżający do drewnianego mostu kolejny transport zwłok z północnej ćwiartki. Pochodzenie można było zidentyfikować po granatowej szacie woźnicy.

– Nie przypominaj mi. – Tamadur na samą myśl o ciemniźycielce rodziny zacisnęła dłoń w pięstkę.

– I dziadek też tu leży. Pamiętacie? Zabrał go Kadu, nasz dobry kapłan – powiedziała Fatima.

– Tak. To był piękny pogrzeb. A nasz tata? – spytała Adila.

Nagle, nie wiadomo skąd, jakby wyrósł spod ziemi, pojawił się parszywie wyglądający łachmaniarz. Był brudny, obdarty, miał braki w uzębieniu, a na plecach dźwigał przypięty paskiem dziurawy kosz wiklinowy.

– A co wy tu robicie, basałyki? – spytał szeptem, wywołując najpierw potrójny wrzask rozpaczy, potem panikę wśród dziewcząt.

– Cicho – uspokajał je łachmaniarz, ale to nic nie dało.

– O Patri, to pokun, ratuj się, kto może – lamentowała Fatima.

– W nogi! – krzyknęła Tamadur.



Dziewczęta rozpierzchły się na trzy strony, nadal drąc się ze strachu wniebogłosy. Od razu zwróciły na siebie uwagę kapłana, mimo iż czynił rytuały związane z pochówkiem jakieś dwieście łokci od nich. Łachmaniarz ze stoickim spokojem wzruszył ramionami.

– Nic wam nie zrobię – powiedział spokojnie i przesadnie wyraźnie, jakby chciał rozruszać nieużywany od dawna aparat mowy.

\* \* \*

Od dobrych dwóch tygodni całe Litrijis mówiło tylko o pokunie. Najpierw o tym, że został pojmany. Potem, że zbiegł, a wcześniej, korzystając z boskiej mocy, zabił ważnego kapłana na służbie, czyli czcigodnego wysłannika Rady Kościoła, niejakiego Lupiusa. Każdy z uczestników krucjaty, podczas której udało się schwytać najniebezpieczniejszego stwora Wszechziemi, opowiadał na ten temat inną historię. Członkowie ich rodzin, chcąc wyróżnić heroizm przedstawiciela własnego rodu na tle pozostałych, ubarwiali dodatkowo relację, często zmieniając jej przebieg. Tak zrodził się wieloplotek, dość popularny wśród szukających tanich sensacji społeczności sposób opowiadania rodzimych powiastek na dobrą noc. Według niego historia ta miała kilka zakończeń, większość szczęśliwych, w których pokun został poćwiartowany na kawałki, a jego matka spalona na stosie. Było też kilka początków, każdy przedstawiał inną osobę jako tę, która pierwsza zadała cios. Rozwinięcie historii to już był totalny miszmasz przygód, jakich doświadczyli bogobojni, zacni obrońcy lokalnej gawiedzi. Tym sposobem powstała wielowątkowa epopeja o dzielnych wojach z osady Litrijis, którzy ze znikomym wsparciem kapłana Lupiusa pokonali samego pokuna niemal gołymi rękami. Przecież broń była zakazana.

Kiedy na miejsce zbrodni dotarł kapłan śledczy o imieniu Leone, po przepytaniu kilku świadków udał się wprost do domu Ghaidenga Ru. Tam okazało się, że nie sposób zbliżyć się do niego na odległość

dwudziestu łokci. Smród docierający ze schronienia byłego Członka Rady potrafiłby unieszkodliwić najdzielniejszego bohatera, a także zniechęcić do dalszej jazdy jego wierzchowca.

– Witaj, kapłanie. Nie znam cię, choć sądzę, że wiesz, kim jestem – powiedział gospodarz, wychodząc naprzeciw gościowi.

– Mam na imię Leone, pochodzę z północnej ćwiartki, ale jak wiesz, to nie ma znaczenia. Po prostu chciałem się przedstawić.

– Co cię sprowadza? – zapytał człowiek bez ręki, przyglądając się przybyszowi z wyraźnym zaciekawieniem.

– Szukam prawdy. Każdy, z kim rozmawiałem, opowiadał mi inną wersję tej samej historii o tym, co się tutaj wydarzyło kilkanaście dni temu. Zresztą dość blisko twego domu. Wiesz może, co tu się stało?

– Chodzi ci o Lupiusa? No tak. Patri czasem nas zaskakuje. Jednych nie chce zabrać do siebie, na przykład mnie, innych bierze sobie za młodu. I gdzie tu sprawiedliwość?

– Wiesz dobrze, że to nie sprawka Patri, lecz morderstwo.

– Ciekawe. Tego nie brałem pod uwagę. A może być, że morderstwo. I dlatego tak szybko przybyłeś?

– Miałem sprawę po sąsiedzku. Naszej pani zależało na bezzwłocznym rozwikłaniu zagadki. Chodzą słuchy, że dziecko, na które matka wołała nie po naszymu, to żywy pokun w ludzkiej skórze. Widziałeś takowego smarkacza?

– Spotkałem w swym długim życiu wielu ludzi, o których mógłbym powiedzieć, że to istne pokuny. Nigdy tak nie pomyślałem o dziecku.

– A matka? Ponoć białowłosa jak większość naszych, ale inna. Spotkałeś jakąś obcą?

– A tak. Coś sobie przypominam. Czy to nie ta, która mieszkała u Kaaratu? To straganiarz, jego spytajcie. Na pewno będzie wiedział.

– Właśnie od niego wracam. Twierdzi, że przyjaźniłeś się z jej kuzy-nem, niejakim Fahidem Manduarra, zażartym wrogiem Kościoła, słusznie ukaranym.

– Znaliśmy się. A jakże. Zresztą Kaaratu też go znał. Wszyscy w Litrijis go wspominają. Do dziś unosi się tu zapach jego spalonego żywca ciała.

– Mówią, że ostatnio nabywasz większe ilości pożywienia. Do karczmy nie zaglądasz. Czy coś się zmieniło?

– Stary jestem. Rzadziej chodzę, to robię większe zakupy. Czy coś cię niepokoi?

Leone wpatrywał się w stronę domu Ghaidenga Ru, jakby liczył, że zauważy coś niepokojącego.

– A może wstąpisz na chwilę? Zapraszam. – Ton głosu gospodarza brzmiał szczerze i miło.

– Nie mam czasu. Muszę ruszać z ciałem Lupiusa do Asaranu. Pewnie rozumiesz, jest lekko nadpsute. Potem powinienem napisać raport do Laersa.

– A kimże jest Laers? Nie znam człowieka. Nowy członek Rady? Leone pokiwał głową.

– A wiesz może, co się dzieje z Taaridą? Wróci? Kapłan śledczy wzruszył tylko ramionami.

– Naprawdę nie zajrzysz? Pogadamy. Mam spory antałek tinghao. Opowiesz mi, co słychać w Patrix. Siedzę tu na tym odludziu samiusieńki jak palec.

– Innym razem. Bywaj – odpowiedział Leone, wsiadł na okurai i pognął w stronę centrum osady.

Ghaideng Ru kiwnął przyjaźnie głową na pożegnanie. Ten wyglądający na trzy oczyszczenia człowiek wydał mu się innym kapłanem niż większość, których poznał. Był w miarę szczupły, postawny, o ciekawskim spojrzeniu. Jeśli miał nieczne zamiary, nie pokazywał ich po sobie. Co, wbrew pozorom, w oczach zgnuśnialego, byłego kapłana wysokiego szczebla stanowiło zaletę. Leone miał też przyjazne oblicze z lekkim, rzadkim zarostem, niezniszczone do cna świętym jadem.

Nowe pokolenie, nowe zasady. Wszystko się zmienia – pomyślał Ghaideng Ru i zawrócił w stronę domu.

– Poszedł? – Ze środka dobiegł kobiecy szept.

– Tak. Mówiłem ci, że nikt tu nie wejdzie.